

Łukasz Warzecha: WikiLeaks o Smoleńsku

Czy polscy prokuratorzy zamierzają w jakikolwiek sposób uwzględnić wymianę korespondencji pomiędzy pracownikami Stratforu w swoich działaniach?



**Czy polscy prokuratorzy zamierzają w jakikolwiek sposób
uwzględnić wymianę korespondencji pomiędzy pracownikami
Stratforu w swoich działaniach?**

Ujawniona przez WikiLeaks korespondencja ekspertów Stratforu – prestiżowej instytucji, przez niektórych uznawanej za „prywatną agencję wywiadowczą” – przywołuje na myśl jedną z wersji wyjaśnienia katastrofy w Smoleńsku, które pojawiały się zaraz po 10 kwietnia 2010 r., aby potem właściwie zniknąć z horyzontu wobec polaryzacji postaw. Pozwalając sobie na osobistą uwagę, muszę przyznać, że – nie mając oczywiście wówczas żadnej wiedzy i opierając się jedynie na hipotetycznym rozumowaniu – niemal od razu po katastrofie byłem najbardziej skłonny przychylić się właśnie do takiego wyjaśnienia. Eksperci Stratforu w prywatnej korespondencji piszą zatem, że katastrofa była spowodowana celowym działaniem Rosjan, jednak nie w sensie zamachu lub chęci doprowadzenia do katastrofy, a jedynie utrudnienia sytuacji prezydentowi Rzeczypospolitej. Faktycznie miało bowiem chodzić jedynie o uniemożliwienie lub przynajmniej opóźnienie lądowania tupolewa z prezydentem Kaczyńskim na pokładzie, tak aby rozbić program uroczystości katyńskich i skompromitować niewygodnego przywódcę.

Tragiczny finał miał być nie przewidzianym skutkiem. Choć, dodać trzeba, jeśli tezy i informacje analityków Stratforu są słuszne, Rosjanie musieli w swoich kalkulacjach uwzględnić i taki rozwój wypadków, jako niepożądany, ale jednak mogący w pewnych okolicznościach wyniknąć z ich działań. I tak właśnie się stało: zgodnie z tezami ludzi Stratforu, katastrofa miałaby być skutkiem tego, że Rosjanie „przedobrzyli”.

Nie wiemy, do jakich źródeł odwołują się eksperci. Pojawia się jedynie kryptonim „comerade J”, czyli „Towarzysz J”. Wiadomo – nie jest to tajna informacja – że chodzi o Siergieja Trietiakowa, byłego wysokiego

oficera SWR (Służba Wniesznej Razwiedki – Służby Wywiadu Zagranicznego, następcy odpowiedniego wydziału KGB), który przeszedł na amerykańską stronę w 2000 r. (jak dotąd był to najwyższy rangą rosyjski oficer wywiadu, który przeszedł na stronę przeciwnika po zakończeniu zimnej wojny, przynajmniej spośród przypadków, o których wie opinia publiczna). Wcześniej robił karierę m.in. jako agent pracujący w przedstawicielstwie Rosji przy ONZ w Nowym Jorku. Trietiakow opowiedział swoją historię dziennikarzowi Peterowi Earley'emu, który zrelacjonował ją w książce „Towarzysz J” (w USA ukazała się w 2007 r., polskie wydanie nakładem wydawnictwa Rebis, Poznań 2008). Jak to bywa z ważnymi oficerami rosyjskiego wywiadu, przechodzącymi na stronę USA – Trietiakow dostał nową tożsamość i został ukryty. Trudno zatem stwierdzić, do jakiego stopnia jego tezy o celowym działaniu Rosjan opierają się na wiedzy, pozyskanej z jakichś wciąż dostępnych mu źródeł, a w jakim stopniu jest to jedynie hipoteza, poparta latami doświadczenia pracy w rosyjskim wywiadzie i dogłębną znajomością jego metod.

Jakkolwiek by było, hipoteza, jaką stawiają pracownicy Stratforu, wydaje się prawdopodobna i w pewnym sensie łączy dwa, wydawałoby się, przeciwne stanowiska w sprawie katastrofy smoleńskiej. Z jednej bowiem strony nie wspiera wersji zamachu, z drugiej – przypisuje Rosjanom złą wolę i celowość działania. Oczywiście „kompromisowość” takiego wyjaśnienia wypadków to za mało, aby przyjąć je jako najbardziej prawdopodobne. Potrzebne są konkretne informacje i dowody, a tych możemy nie dostać przez dziesiątki lat. Warto jednak i o tej hipotezie pamiętać.

Przy czym natychmiast rzuca się w oczy, że stoi ona w radykalnej sprzeczności z obrazem sytuacji, jaki dostaliśmy ze strony komisji Millera, a także na podstawie tej wiedzy o wydarzeniach na smoleńskim lotnisku, jaką dziś mamy. Znamy bowiem historię o panującym na „wieży” smoleńskiego lądowiska (bo trudno tu mówić o lotnisku) chaosie kompetencyjnym i informacyjnym, o niezdecydowaniu głównych uczestników zdarzeń, zaś jako naczelną winę strony rosyjskiej podaje się niewłaściwe naprowadzanie maszyny, przede wszystkim zaś niezamknięcie lądowiska pomimo fatalnych warunków. Ten obraz nijak nie daje się pogodzić z informacjami, jakie poznaliśmy dzięki WikiLeaks. Albo zatem analitycy Stratforu oraz były oficer SWR się mylą lub są wprowadzani w błąd przez swoje źródła, albo opis sytuacji, jakim my dysponujemy, jest nieprawdziwy.

Tak czy owak, dobrze byłoby wiedzieć, czy polscy prokuratorzy zamierzają w jakikolwiek sposób uwzględnić wymianę korespondencji pomiędzy pracownikami Stratforu w swoich działaniach. Nie mamy przecież do czynienia z anonimowymi przeciekami, ale z wymianą mejli pomiędzy poważnymi i doskonale zorientowanymi ludźmi, którzy się jej nie wypierają.

Warto jeszcze przytoczyć relację, którą usłyszałem od byłego wysokiego urzędnika Kancelarii Prezydenta z czasów Lecha Kaczyńskiego, dotyczącą pierwszej wizyty głowy państwa w Katyniu w roku 2007. Organizujący wyjazd prezydenccy urzędnicy już wówczas obawiali się, że strona rosyjska może chcieć go w jakiś sposób zdeorganizować, blokować, utrudniać lub starać się skompromitować polskiego prezydenta. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Wprawdzie najwyższym urzędnikiem, który pojawił się na miejscu ze strony gospodarzy, był

gubernator obwodu, ale wszystko przebiegało sprawnie i bez problemów. Po uroczystościach zaś ów gubernator ogromnie nalegał, żeby członkowie delegacji choć na chwilę wzięli udział w przyjęciu na ich cześć, zaimprovizowanym na płycie lotniska. Jak twierdzi mój rozmówca, przedstawiciel Rosjan sprawiał wrażenie, że jest to dla niego bardzo ważna kwestia i że odmowa ze strony Polaków skończy się dla niego kłopotami.

Tamte okoliczności i wyraźna dbałość o to, aby w niczym nie uchybić prezydenckiej delegacji, stały w uderzającym kontraście z działaniami strony rosyjskiej przed 10 kwietnia 2010 r. Staje się to jednak całkowicie zrozumiałe, jeśli uświadomić sobie, że trochę ponad rok po pierwszej wizycie polskiego prezydenta w Katyniu miała miejsce wojna rosyjsko-gruzyńska, podczas której Lech Kaczyński okazał się dla Rosji bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Niebezpiecznym na tyle, że z całą pewnością warto było rzucać mu pod nogi kłody.

Łukasz Warzecha

Łukasz Warzecha jest komentatorem "Faktu"

Foto: Damian Burzykowski ("Fakt")